

Historyczna racja premiera Tuska

4 lipca 2009

Polskie życie publiczne w maju zdominowała awantura wokół obchodów 20. rocznicy wyborów z 4 czerwca 1989 r. Rzecz jasna nie warto do niej wracać, tak jak nie warto było zawracać sobie nią głowy, gdy rozpalała namietności premiera, prezydenta, ministrów, opozycji, mediów i ojca Zięby. Wydaje się jednak, że może ona wszystkim wyjść na dobre. W świetle awantur oraz formy, jaką przyjęły obchody rocznicy „obalenia komunizmu”, a wbrew organizatorom jednych i drugich, można było wreszcie zobaczyć główny problem polskiej demokracji. Świętująca jej zwycięstwo klasa polityczna wyartykułowała przejrzyste i jakże potrzebne przesłanie, pozwalające lepiej zrozumieć zarówno dzisiejszą kondycję polskiego życia publicznego, jak i historyczną owej kondycji genezę, tkwiącą w wydarzeniach sprzed dwóch dekad. Co ważne, przesłanie to jest uniwersalne, bo odnosi się nie tylko do znaczenia i konsekwencji kontraktowych wyborów w Polsce, ale także do Jesieni Ludów, która kilka miesięcy potem ogarnęła inne kraje Bloku Wschodniego.

Premier Donald Tusk miał rację uciekając z oficjalnymi obchodami z robotniczego Gdańska do królewskiego Krakowa. Nie ma co ukrywać – dzisiejszym polskim elitom znacznie bliżej na Wawel niż do stoczni. Feudalny splendor królewskiego zamku doskonale komponuje się z wizją świata społecznego podzielaną przez większość przedstawicieli polskiej klasy politycznej wszelkich opcji i odcieni. Platforma Obywatelska jest jedynie najdoskonalszym wcieleniem tej wizji. Nie można tego natomiast powiedzieć o przemysłowym krajobrazie okolic gdańskiej stoczni, która dotąd była jeszcze tolerowana w symbolicznym imaginariusium polityki III RP, ale pod warunkiem, że grała rolę martwego symbolu „narodowego zrywu”, starannie oczyszczonego z wszelkich odniesień współczesnych czy społecznych na

podobieństwo bitwy pod Grunwaldem czy Powstania Kościuszkowskiego. Tego właśnie nie mogli zrozumieć sami stoczniovcy, przez lata uparcie kałajacy podniosła atmosferę ogólnonarodowych akademii „ku czci” zabłoconymi buciorami swych klasowych interesów. I właśnie za to zostali wreszcie ukarani.

Populistyczne gesty prezydenta i bezkrytycznie drepczącej za PiS-em „Solidarności”, która lepiej odnajduje się w organizacji mszy niż demonstracji i strajków, nic tu nie zmienia. Można w nich widzieć co najwyżej żałosne próby zasłonięcia smutnej prawdy o naturze „zwycięstwa sprzed 20 lat”. Tej prawdy, której ujawnienie zawdzięczamy niezastąpionemu wyczuciu i intuicji premiera Tuska.

Wawelskie obchody bardzo dobrze ukazały fałszywość oficjalnego dyskursu na temat „obalenia komunizmu”. I nie chodzi tu tylko o to, że żadnego obalenia nie było bo komuniści podzielili się władzą sami i sami ją w konsekwencji oddali (polska opozycja po stanie wojennym i późniejszej „normalizacji” była po prostu za słaba na jakiekolwiek obalenie). Chodzi przede wszystkim o to, że rok 1989 był nie tyle czasem triumfu demokracji, ile zwycięskiego pochodu kapitalizmu na Wschód. Nawet tam, gdzie wydarzenia przybrały postać do złudzenia przypominającą rewolucję – w Czechosłowacji, NRD czy Rumunii – wiwatujące tłumy nie były żadnym podmiotem społecznej zmiany, ale zaledwie gromadą statystów robiących za tło w wielkim spektaklu restauracji kapitalizmu. Dziś można się oczywiście zżymać, że ze święta wolności wyklucza się nie tylko całą grupę społeczną, przypadkowo najbardziej zasłużoną w walce o demokrację, ale też, przy okazji, dyskredytuje najważniejsze owej wolności zdobycze (jak prawo do demonstracji, strajku czy po prostu artykulacji swojej niezgody na politykę rządzących). Nie zmienia to faktu, że owo wykluczenie doskonale oddaje prawdziwą, społeczno-ekonomiczną treść zmian sprzed 20 lat.

Restauracja kapitalizmu była bowiem triumfem logiki przekształcania wszystkich dziedzin życia społecznego w

przestrzeń waloryzacji kapitału – logiki nie dającej się pogodzić z logiką demokratycznego samostanowienia. Dlatego właśnie prawdziwa walka o demokrację w 1989 r. i w latach późniejszych toczyła się nie przy okrągłym stole, sejmie czy zaciszach gabinetów, w których Jeffrey Sachs wykładał Leszkowi Balcerowiczowi tajniki „koniecznych reform”, ale na ulicach i w zakładach. Tam, gdzie pracownicy odmawiali podporządkowania się „niewidzialnej ręce rynku” i poświęcenia dla niej swych zdobytych ciężką walką praw i aspiracji. Tam, gdzie instynktownie odrzucano neoliberalną retorykę zaciskania pasa i fałszywe obietnice ekonomii trickle down. Tam wreszcie, gdzie usiłowano ożywić samorządowy projekt pierwszej „Solidarności” domagający się demokratyzacji sfery ekonomicznej (czyli sfery materialnego wytwarzania społeczeństwa), z której kapitalizm czyni obszar władzy absolutnej pracodawców.

W roku 1989 demokracja była tylko smakowitą przystawką, prawdziwe danie nazywało się kapitalizm i miało postać gorzkiej tabletki zaordynowanej społeczeństwom Europy Wschodniej w ramach serii terapii szokowych podyktowanych przez uczniów Milтона Friedmana i urzędników Międzynarodowego Funduszu Walutowego.

To właśnie szokowa forma restauracji narzuciła ewolucję polityczną całemu regionowi i ona w dużej mierze odpowiada za tutejszy chroniczny deficyt demokracji. Ekonomiczny regres ogromnej większości społeczeństw, przede wszystkim klas pracujących, skutecznie sparaliżował oddolną inicjatywę i solidarność, zmuszając ludzi do indywidualnej walki o przetrwanie (często przeciw sobie nawzajem), a frustracje kanalizując w prawicowe resentymenty. Demokratyczne marzenia mas dosłownie utonęły w oceanie biedy i niepewności. W Polsce, destabilizacji ekonomicznej i socjalnej wywołanej gwałtowną pauperyzacją, rosnącymi nierównościami i dwucyfrowym bezrobociem towarzyszyła dezorientacja polityczna ofiar transformacji. Osłabiła ona skuteczność, a przede wszystkim

stąpiła polityczne ostrze potężnych antyprywatyzacyjnych protestów początku lat 90. Wielka fala strajków i demonstracji lat 1991-1993 nie wyłoniła alternatywy dla kapitalizmu, a jedynie wyniosła do władzy postkomunistów z SLD. Niemniej to właśnie ówczesna, zapomniana dziś konfrontacja powstrzymała tempo prywatyzacji i neoliberalnych dostosowań forsowanych przez pierwsze niekomunistyczne rządy. To opór robotników uratował III RP przed podzieleniem losu Rosji, gdzie społeczne protesty utopiono we krwi (podczas puczu Jelcyna i neoliberalistów w 1993 r.), a totalna liberalizacja (czytaj: oligarchiczny skok na kasę państwową) wepchnęła kraj na krawędź katastrofy cywilizacyjnej. I to było chyba jedyne prawdziwe zwycięstwo polskiej demokracji w czasach restauracji kapitalizmu. Niestety, w obliczu dokonanych już wcześniej spustoszeń społecznych, nie pociągnęło za sobą odrodzenia, konsolidacji oraz politycznej krystalizacji ruchu pracowniczego. Poza pewnymi wyjątkami, jego dezorientacja trwa do dziś.

Klęska, jaką w 1989 r. poniosła demokracja w starciu z neoliberalnym kapitalizmem leży u podstaw alienacji polskiej sceny politycznej, słabości ruchów społecznych i braku masowej kultury demokratycznej, wyrażającej się w przekonaniu, że „razem możemy coś zrobić”. Bez tego zaś polska demokracja pozostaje tylko fasadą partykularyzmu neoliberalnej oligarchii.

Autor: Przemysław Wielgosz

Źródło: [Le Monde diplomatique](#)